Rozmaitości

Dnia 10. Lipca Ner. 28. Roku 1841.

PRZYSIONEK DO SZCZĘŚLIWOŚCI.

Trudno wybłagać łaski u wyroku,
Pieczęć żelazna łzami się nie kruszy! —
Mylne na przyszłość człowieka rachuby,
Ciągnie na ślepo los szczęścia lub zguby!

(Dokończenie.)

Wkrótce potém opuściliśmy wszyscy dolinę Chamouny. Z żalośném uczuciem pożegnało się towarzystwo, którego członkowie w różne miejsca swego wyboru lub przeznaczenia się rozjechali. Z szczególniejszém wzruszeniem rozstałem się z Yburgiem i Łucyją, nie bez najszczérszego życzenia: oby ta luba istota szczęśliwą była!

Spędziłem zimę w Sycylii, téj historycznéj, wzorowéj mapie wszystkich czasów i ludów. Obok starożytnych cyklopejskich murów, pomiędzy olbrzymiemi gruzami rzymskiego świata, stoją zburzone zamki Normanów, dziwaczne szczątki budownictwa Saracenów. Z wszystkich tych pamiątek i zabytków skleciła się nowocześna Sycylii budowa. Jeszcze po dziś dzień bucha Etna płomieniem, a pod nią leży księga *mytyczna*, wprawdzie zasuta pyłem czasu, ale jeszcze czytelna. Bajeczna wyspa ta jest dzikim Hesperyi ogrodem. Oglądałem Agrygent Dedala, kolosalne gruzy jego świątyń, olbrzymie, już zapadłe jego kolumny; byłem w Syrakuzie, w okolicy Symetu, gdzie niegdy Prozerpina porwaną została; zwidziłem w Palermo grotę i róże świętéj Rozalii. Wrażenie, jakie Sycylija na podróżnych wywiera, jest nadzwyczajne i właściwego rodzaju.

Pod tą gorącą strefą prawie niepostrzeżenie przeminęła mi zima. Z wiosną powróciłem do Niemiec. Wezwanie Yburga równie jak i szczéry udział, który we mnie Łucyja obudziła, skłoniły mnie do odwidzenia go w wiejskim jego pałacu. Już za piérwszém do jego dóbr wstąpieniem, spostrzegłem większy dostatek w jego wioskach, doskonalszą uprawę właśnie co z-oranych gruntów, piękną rasę trzód, i wyborny stan lasów. Wszystko, na com tylko spojrzał, poświadczało mi, żem się zbliżał do siedziby oświeconego przyjaciela ludzkości. Wysiadłszy z powozu, szedłem przez zwierzyniec pomiędzy porozrzucane folwarki bliższą ścieżką do pałacu. Wiosenne śpiewaki witały mnie swoim miło-dźwiękiem w zaroślach; czarna, świeżo po grządkach skopana ziemia, do nowéj przebudzona działalności, wpajała w zasiane zarody twórcze życie, a wszyscy mieszkańcy téj okolicy okazywali się być majętni i wesołego, swobodnego umysłu. Szedłem przez ogród, drzewa czereszniowe okryte były śniegiem kwiecia, aurykuły i wszelkie pierwiosnki zdroiły przyjemną woń z swych młodociano-rozwiniętych listków; narcyzy i hyjacynty pięły w górę spragnione swe kielichy. Pałac stał w pośrodku ogrodu; prowadziła do niego świeżą zielonością pokryta, grabiną wysadzaną ulica; w porannem słońcu rozrzucała kaskada swe dyjamenty; w głębi wznosiła się błękitna góra. Na listkach i na trawie błyszczały łzy rosy, w pogodnym błękicie zawieszały się śpiewające skowronki. Wychyliłem się z drzew zacienia i ujrzałem smukłą postać na zielonym trawniku stojącą; patrzyła w niebo i przysłuchiwała się miłym śpiewakom wiosny: byłato Łucyja. Na jéj widok zaczęło z radości i życzliwego uczucia bić we mnie

serce; zbliżyłem się z cicha. »Wiosna i Chamouny!« rzekłem; zdziwiona tém powitaniem, obejrzała się spieszno. Piękność jéj była jeszcze dorodniejszą i urokiem swoim jeszcze bardziéj zniewalającą; po jéj licu rozléwał się świéży wdzięk młodości, lecz jakkolwiek bujna była jéj okwitość, przecież z po-za ziemskiéj piękności przeglądał świat drugi! Oko jéj było łzami zwilżone; z radośném westchnieniem podała mi rękę. Yburg wyszedł z po za blizkiéj krzewiny, i przywitał się ze mną serdecznie. Znacznie postarzał się téj zimy, zmarszczki poorały mu czoło, włos jego posiwiał. Niezadługo miał się rozstrzygnąć los jego córki; niepewność i troskliwość trapiły ojcowskie serce.

Szliśmy przez piękne podziały ogrodu, rozmawiając o Chamouny i Emeryku. Twarz Łucyi promieniła się na to wspomnienie. Właśnie niedawno otrzymała od swego narzeczonego listy z Gwinei, lecz on je z powodu wielkiéj odległości pisał jeszcze podczas naszéj europejskiéj zimy, i pomimo pilną z jego strony korespondencyję, nic o nim nie wiedziała w ostatnich miesiącach. Obiecała mi wszystkie jego listy dać do przejrzenia. I ojciec zdawał się być zadowolonym z Emeryka. Weszliśmy do pałacu, który był w najszlachetniejszym smaku nowoczesnych budowli wystawiony. Dólne piętro otaczały tarasy i marmurowe framugi, w których tryskały chłód roznoszące wodoskoki. Górne piętro wskazywało wygodę i wytworność najnowszego czasu. Z licznych swych podróży poprzywoził Yburg różne osobliwości natury i dzieła kunsztu, które smakownie ustawione, salony zdobiły.

Już pierwszego wieczora dała mi Łucyja listy lorda. W czasie, gdy najpiękniejszy blask księżyca rozléwał się po przed moim pokojem, gdy w poblizkim gaju kwiliły kosy i słowiki, czytałem te czułe, ognistą miłością tchnące listy, w których Łucyja w swéj samocie, spokojności i ulgi żalu szukała. Pierwsze z nich były jeszcze w Genewie, Paryżu, Kalecie i Anglii pisane. Wszystkie miały na sobie niezaprzeczone znamię, jak przykrém było dla lorda rozstanie się z Łucyją, jak mocno go zajęła i jak tęskne wiódł bez niéj życie. Wyznał jéj, iż się nigdy nie spodziéwał, aby twarde i nieugięte serce jego tak głębokich, tak tkliwych wrażeń było zdolne; oświadczył, iż Łucyja go pokonała, i że w niéj tylko żyje. Potém nastąpił dziennik, który na otwartém morzu w czasie podróży do Afryki i na wybrzeżach Gwinei pisał. Męzko i silnie malowało się w nim jego przywiązanie do Łucyi, pomiędzy to wplątane były trafne, jenijalne uwagi o nowych przedmiotach, a wraz z témi, snuły się miłe, tkliwe wspomnienia o dolinie *Prieuré*. Kilkakrotnie oznajmił postanowienie: aby na tém samém miejscu, gdzie się rozstali, znowu się zejszli, równie jak i nadzieję, że to jeszcze na przyszłe lato nastąpi. Słowem, cały dziennik był wiernym wyrazem szlachetnego i mocnego umysłu, który się głębokiém uczuciem swém, serdecznie raduje, a nawet nad tkliwością i szczérością swoją zdumiéwa. Opisywał jéj swe przybycie na wybrzeże *Sierra Leone*, wkroczenie swego pułku w głąb kraju, małe utarczki z krajowcami. Nie mało było tam sposobności do trwogi dla kochającego serca. W okropnych lasach przerażał lew swym rykiem, tygrys i połoz skradały się w zaroślach. Murzyni czatowali z zatrutémi strzałami. Ale sroższa i groźniejsza niż wszelkie niebezpieczeństwa szła za wojskiem aż w osady i twierdze, zabijająca febra. Przytém opisywał Łucyi piękność i bogactwo tego południowego kraju: wysokie, ciche palmowe lasy, obfitość złotego piasku, słoniowéj kości i korzeni; szérokie, błękitne rzéki i spaniałe nadbrzeża. Bitny naród Murzynów nazwiskiem *Azhanti* zdawał się znowu angielskiéj osadzie *Cape-Coast-Castle* zagrażać, a dla zabieżenia podobnym okropnościom, jakie były w roku 1824, zmuszony był pułk jego wystąpić z bronią w ręku. Lord Finland w każdéj utarczce dał swojéj waleczności dowody; zupełnie zgodny był z jego charakterem sposób, jakim opowiadał swoje niebezpieczne przygody, lubo się zdawało, że ich nawet sam nie dostrzegał. Do tych opowiadań dołączony był ustęp przygody z dziéwczyną Murzynką. Finland uwolnił z rąk jednego z swych żołnierzy dziéwczynę z plemienia *Azhanty*, które z Anglikami wojnę toczyło. Dziéwczyna chciała zdjąć z swoich ramion złote naramienniki, aby je dać swemu wybawcy, lecz te były

już zdjęte; chciała odpiąć z ucha i szyi perły, ale tych już nie było; cóż miała dać swemu wybawcy? nie miała już nic więcéj jak tylko sama siebie. Rzuciła się więc przed nim na kolana, uderzyła trzykrotnie głową o ziemię, i zaklinała go, aby ją miał za niewolnicę. Lord Finland nie przyjął téj prośby, ale dziéwczyna nie dała się odeprzéć; wychwalała swoję biegłość w różnych ręcznych robotach, z pokorną miną opowiadała, że pochodzi z wysokiego rodu, że jest córką jednego z naczelników plemienia, i na żaden sposób nie chciała odstąpić lorda. Chociaż go wdzięczność młodéj Murzynki do żywego wzruszyła, jednakże nie zmienił postanowienia i opiérającą się kazał nakoniec swemu sierżantowi wyprowadzić za granicę posiadłości angielskich. Lord Finland opisywał Synarę, tak się zwała Murzynka *Azhantów*, jako dziewicę, któraby nawet podług europejskich wyobrażeń piękną nazwać można. Wzrost jéj był smukły, jednakże formy całéj budowy okrągłe i jędrnéj tuszy; krucze sploty włosów, ciemnoogniste oczy, czyniły wydatniejszym wdzięk jéj twarzy, a purpurowe usta i śnieżne zęby, uzupełniały piękność ekwatora. Czarna płeć rozléwała się jak czarny smutek po téj młodéj istocie, a przecież gorące bicie serca płoniło rumieńcem jéj ciemne jagody. Pułk wyruszył naprzeciw Beninowi; lord Finland zapomniał o Murzynce. Z przezorności sam dowodził przednią strażą. W palmowym gaju sen i znużenie zniewoliły go do odpoczynku. W niejakiéj odległości rozstawił straże, a sam położył się w bujnéj trawie pod cieniem rozłożystego drzewa. Marzył słodko o Łucyi, dopiéro po długim i twardym śnie, zbudził go szelest; jakaś ciemna postać skoczyła w krzaki, zerwał się i poskoczył za nią; obok niego leżał połoz zabity. Straż rozstawiona, nie postrzegła bynajmniéj tego wypadku. Lord Finland przypatrzył się błękitnie połyskującemu grzbietowi jadowitego węża, poznał w jak wielkiém znajdował się niebezpieczeństwie, i dopiéro wtedy przyszło mu na myśl, iż to zapewne Synara ustrzegła go od zguby. Przywołał swych towarzyszy, zwidzili las, który ich otaczał, słyszeli skrzek papug, wrzask małp, ale o człowieczéj istocie nie było ani śladu. Dopiéro nazajutrz doniosły mu jego straże, że w pobliżu obozu widziały po dwakroć skradającą się Murzynkę. Pułkownik rozkazał, aby jéj najmniejszéj nie czyniono krzywdy. Szli wzdłuż rzeki Wolty i musieli się znowu przez głębokie przedziérać lasy. Zdziwiło ich bardzo, że śród odwiecznéj gęstwi znaleźli rozszarpane członki ze skopa, i kawałki strzał połamanych. Finland rozkazał, ażeby podwojono baczność. Jednakże las zdawał się być zupełnie spokojny i samotny; nareszcie wydostali się na płaszczyznę murawą pokrytą, gdzie noc przepędzić zamyślili. Miejsce to zdawało się być bezpieczne; po jednéj stronie płynęła széroko, głęboka Wolta, drugą stronę zasłaniała nieprzebyta, skalista góra. Rozłożywszy ogniska, zabiérali się do spoczynku. Już nadchodziła snu chwila, aż oto nagle pojawiła się przed lordem czarna niewiasta; nikt nie spostrzegł jéj przyjścia, zdawało się, jak gdyby z ziemi wyrosła; promienie księżyca oświetliły ciemne rysy jéj twarzy: byłato Synara. Niektóremi angielskiemi wyrazy dała do zrozumienia, że im coś wskaże. Finland pospieszył za nią z trzema innymi. Zaprowadziła ich ku skalistym ścianom, przytknęła palec do ust i w milczeniu zaczęli się wdziérać za nią w górę po skalistéj ścieżce. Razem zatrzymawszy się dała znak Finlandowi; przez gęste gałęzie migał się lekki blask światła, który był czerwieńszy niźli światło księżyca. Wskazała w głąb', lord schylił się, i spostrzegł w skale wązką rozpadlinę. Schylił się mocniéj, a przytłumiony gwar obił się o jego uszy; ujrzał ogromną jaskinię; czarne postacie klęczały w około ognia, osiwiali kapłani modlili się do Ałły, ogniste oczy, ostre topory błyskały w około płomieni. To już dla niego było dostateczném; dowiedział się, że nie zrozumiawszy w lesie milczącego znaku Synary, wpadli w zasadzkę. Synara wyprowadziła go z tego miejsca, pospieszyli w dolinę. Dopiéro spostrzegł, że Synara miała łuk i strzały. Zrozumiał jéj skinienie, i wysłał czémprędzéj jednego z żołniérzy z rozkazami do pułku. Drudzy mając broń w pogotowiu, rozłożyli się pośród gęstwi lasu obozem. Księżyc nie mogąc się przedrzéć pomiędzy jego liście, posrébrzał drzew wiérzchołki;

2

wokolo panowała milcząca cisza. Tak czekali chwilę z niespokojném sercem. Tymczasem przybyli angielscy żołniérze; Synara sama porozstawiała ich w lesie. Gdy się to stało, klasnęła trzykrotnie w ręce. Natychmiast pojawili się na wzgórzu uzbrojeni Murzyni, skradali się w dół drogą lasową. Gdy się już w głąb' wsunęli, dali do nich angielscy żołniérze ze wszech strón ognia. Jedna część z nich padła trupem, drudzy wrzasnęli z przestrachu, stanęli do odporu, jednakże wkrótce poszli w rozsypkę. Synara rzuciła się Finlandowi do nóg, błagając go, aby przestał ścigać jéj plemię. Lord skłonił się do jéj prośby. Skończył się nocny wypadek, z nim zniknęła Synara. Azhantowie ponieśli wielką stratę i nie ważyli się już więcéj napadać pułku Finlanda. W kilka dni po tém zdarzeniu pojawiła się znowu Synara w angielskim obozie. Jagody, oczy jéj były zapadłe i smutne; Finland kazał ją przyprowadzić do siebie. Nie zapomniał jaką wdzięczność był jéj winien i przyjął ją uprzejmie. Podziękowała mu posępnym wzrokiem; odsłoniła mantylę, i pokazała kark i piersi od Murzynów pokaléczone; odchyliła włosy z twarzy, i pokazała krwią zbroczone miejsce, w którém jéj ucho odcięto. Finland przeraził się tém okrucieństwem. Azhantowie mieli o Synarę podejrzenie, i gdyby nie była córką jednego z ich książąt, śmiercby jéj zadano. Ferraw, jéj ojciec wygnał ją z swego domu; uszła więc do nieprzyjaciół swego plemienia. Synara czyniła sama sobie wyrzuty, a jednak wewnętrzna radość jaśniała w jéj oku, gdy na Finlanda spojrzała. »Synara zostanie w naszéj osadzie«, dodał lord w końcu swego dziennika, »nie mogę jéj wydać na krwawą zemstę jéj plemienia; może ją wezmę z sobą do Europy, gdyż ta biédna Murzynka wielkie ma do mnie przywiązanie. Spodziéwam się Łucyjo, że pokochasz tę czarną dziéwczynę.«

Łucyja już ją kochała; z żywym udziałem mówiła o Synarze: że ujrzy dziecię natury i przedsięwzięła sobie nauczyć ją wszystkiego co jest dobre i piękne. Serce Łucyi było pod równikiem u Emeryka; odtąd jéj nauką były dzieje i jeografija, najszczególniéj pod względem widowni jego wojennego działania. Aż do najmniejszych szczegółów wiedziała dzieje osad angielskich, znała każde drzewo, każdą roślinę w Gwinei, i rysowała przez domysł szkicy tego nigdy niewidzianego kraju. Łucyja pojęła swe przeznaczenie, pogodziła swą miłość z swém religijném uczuciem. Gdym ją zastał czytającą książkę od nabożeństwa, serce moje napełniło się wzruszeniem i radością. Była zatopiona w rozmyślaniu i nie spostrzegła mnie. W tém podniosła z książki swe oczy, a razem z pobożnémi jéj uczuciami zdawał się wstępować w niebo przyjemny jéj obraz, a jak gwiazdy spuszczały się na dół jéj spojrzenia w jasnym błękicie wiecznéj miłości!

Łucyja była tém powabniejszą i godniejszą kochania, im się rzadziéj takie istoty w świecie samolubstwa i dziwactwa pojawiają!

Po kilku dniach opuściłem piękne wiejskie pomieszkanie Yburga, przeto dalszego ciągu powieści téj, jako naoczny świadek, opowiadać niemogę; przytoczę tylko com się z równoczesnych listów i późniejszych udzieleń dowiedział.

Wielkie przesilenie handlu, które téjże saméj wiosny 1837 roku nastąpiło, jest aż nadto wiadome, aby jego przyczyny i skutki tu rozwijać. Klęska ta dotknęła także Yburga; chociaż on przez lat kilka był się już usunął od handlowych związków; jednakże ostatnie pomyślne widoki, a najszczególniéj chęć pozostawienia dla Łucyi majątku, któryby majątkowi jéj narzeczonego wyrównywał, skłoniły go, że się w znaczne i rozgałęzione przedsiębierstwa zapuścił. Dwa bankructwa w Ameryce, zawikłały go w najniebezpieczniejsze położenie.

Lecz jeszcze bardziéj zasmucające były wiadomości, które mnie doszły z Gwinei; otrzymałem je niespodzianie od jednego z towarzyszów lorda Finland, z którym się przed rokiem zapoznałem, a który był oficerem w tymże samym pułku. Lord zapadł był na gwałtowną, klimatyczną gorączkę, która śmiercią mu zagrażała. Synara nie odstępowała go w tém nieszczęściu. Doświadczeniu jéj i niezmordowanéj troskliwości winien był lord ponajwiększéj części swe wyzdrowienie; z niém zaszła wielka zmiana w jego sercu. Obecność lubego, prosto-szczérego dziecka natury, zupełne oddanie się, niezłomna przychylność, mająca na sobie znamię nietylko pokornéj niewolnicy, ale oraz znamię ognistéj, południowéj miłości, wzruszyły zwolna i podbiły serce, które ciężką chorobą i powolném wyzdrowieniem już zmiękczone było. Z chwil największéj swojéj słabości i obłąkania zmysłów, przypominał on sobie, że Synara rzęsiste łzy z zimnym potem czoła jego mieszała, że go ukradkiem, chcąc go życiem swojém natchnąć, w zaschłe usta całowała. Finland wyzdrowiał, a luba dziéwczyna, szczęśliwa w zrzeczeniu się wszelkiéj nagrody, znowu się w stan niewolnicy cofnęła. Przyjaciel Finlanda nie mógł tego obojgu brać za złe, ale czuł najgłębsze poważanie dla Łucyi, i litował się nad oddaloném, kochającém sercem. Nadeszła chwila, że uczucie dla Łucyi w sercu Emeryka ostygać zaczęło; chciał on je przemocą rozniecić, przywoływał sobie w pamięć wszelkie pamiątki — nadaremnie, ostatni płomyk

zagasł. — Bogaty bankier, który już dawniéj ubiegał się o rękę Łucyi, był najznaczniejszym jéj ojca wierzycielem. Teraz w najkrytyczniejszéj chwili wystąpił z swémi ogromnémi należytościami; Yburg nie mógł ich zaspokoić. Wierzyciel nadmienił o surowych środkach sądowych i ponowił staranie się o rękę Łucyi; ojciec odmówił mu stanowczo. Łucyja znała cały skład rzeczy, tylko jedną tajemną chwilę poświęciła łzom i nabraniu odwagi; przyjęła oświadczenie. Ale z radością tkliwego rozrzewnienia, ze stałością nieugiętego charakteru i prawdziwéj ojcowskiéj miłości, odmówił Yburg swojego zezwolenia. Łucyja obstawała przy swojém prawie, przy swojéj powinności: wszczął się spór między ojcem i córką, z którego się niebianie radują i któremu palma zwycięztwa kwitnie! Nawet sam wierzyciel był mocno wzruszony; oświadczył ojcu i córce pomoc swoję, oczy jego zrosiły się łzami; ocalił Yburga.

Za pośrednictwem jego zaspokoił Yburg wszystkich swych wierzycieli; zniknął wielki jego majątek, zmuszony był posprzedawać obszérne swoje dobra, nawet owę piękną włość, gdziem go jeszcze niedawno w tak dobrém mieniu widział; lecz swobodne było serce jego. Jeszcze mu pozostała mała summa, z któréj mógł siebie i swoję córkę przyzwoicie utrzymać. Ten przypadek dał mu poznać męża szlachetnego sposobu myślenia, a serce córki jego, wytrzymało krwawą próbę! Łucyja powinna była już na tym świecie być szczęśliwą: czwarte przykazanie władało jéj wyborem. Stratę swego majątku miał Yburg za hekatombę poświęconą ciemnym władzom nieszczęścia.

Pora roku pomknęła się tymczasem znacznie, z swobodnym umysłem opuścili swoję posiadłość; dokądże mieli się udać, jak nie w dolinę miłości, do Chamouny? Od lorda Finlanda w ostatnim czasie coraz rzadszéj i krótszéj treści przychodziły listy. Lecz długa choroba, którą przebył, usprawiedliwiała przerywane doniesienia jego. Gdy otrzymał piérwszą wiadomość o chwiejących się stosunkach majątkowych Yburga, dawał mu cały swój majątek pod rozrządzenie. Mógłże dać piękniejszy dowód niezmniejszonéj swojéj miłości? Lecz najradośniejszą wiadomość zawiérały jego ostatnie listy: pułk jego miał wkrótkim czasie powrócić do ojczyzny. Łucyja przypomniała sobie jego ostatnie przy pożegnaniu wyrzeczone słowa: że się w dolinie Chamouny, przy *Lac de chede* zobaczyć mieli.

Nastąpiła jesień; doniesienia z Gwinei zawiérały coraz smutniejsze wiadomości. Prawda, że się poselstwo lorda Finlanda skończyło, lecz w sercu jego spłonęła dzika namiętność. Któż serce ludzkie potępiać może! Jeden wzrok, jedno tchnienie dostateczne, by w wiecznéj głębi jego oderwać kosmkę; ta się usuwa, staje się bryłka, toczy się daléj, i już pustosząc spada jak lawina na plony własnego i obcego szczęścia! Emeryk uległ w walce, już kochał tylko Synarę, obraz Łucyi rozpłynął się jak lekka, szara mgła, żadnego kształtu nie biorąca! Nie zapomniał on o jéj świetnych przymiotach, ale te już się mu tylko jako towarzyskiém przyzwyczajeniem i wprawą, jako lekkim wynikiem z ukształconego podania i starannego wychowania być wydawały. Miłość jéj była mu teraz wycieńczoną sentymentalnością późnego stulecia. W Synarze zaś widział wszystko świéżo idące z jednego piérwiastku. Cnoty jéj były skutkiem własnego jéj odkrycia, jéj dobre przymioty wywalczone przez nią samę z otaczających ją stosunków; miłość jéj, byłto płomienny chrzest do nieśmiertelności! Synary dusza przeszła w duszę Emeryka: on był dla niéj kochankiem, małżonkiem, prorokiem; w oku jego widziała światłość siedmiu nieb uroczych! Jak się ten silnie ździérgnięty węzeł rozplącze, nie mógł mi przyjaciel jego oznaczyć. Nieraz sądził, że Finland weźmie Synarę do Europy, nieraz znowu, że się schroni z nią w lasy jéj ojczyzny, i nazawsze się od wszelkich dawnych usunie stosunków. Niekiedy zaś jego ponurość, jego żar w oku, naprowadzał na daleko smutniejsze domysły!

Te listy mocno mnie zmartwiły, ubolewałem nad obojgiem. Jako przyjaciel Yburga i Łucyi miałem sobie za powinność przysposobić ich na tę zbliżającą się chwilę przesilenia, i w ciężkiéj godzinie losu dać im pomoc. Pojechałem do Chamouny. Przyjęli mnie z swobodną radością. Każda głęboka radość jest wzruszająca. Pokazali mi Finlanda ostatnie listy; były one krótkie. Przybył do Anglii i był już w drodze do Sabaudyi. Zdziwiłem się i ochłonąłem z mojéj trwożliwéj obawy. Odłożyłem na czas inny moje udzielenia. Okolice w Prieuré znowu przybrały dla nas dawne uroki; ich łąki zazieleniły się i zakwitły w różno-wzore powaby; igły granitu lśniły się w obłokach, lodowce świéciły swémi kryształy, a Montblanc tlał zorzą wieczorną. Znowu była Łucyja jako najprzyjemniejsza istota śród téj pięknéj natury. Była ona w pełni dziéwiczéj piękności, uniebiona słodką tęsknotą oblubienicy.

Zastałem i do mnie listy w Prieuré. Przyjaciel mój, ciągle jako gorliwy wielbiciel Łucyi, mówił przecież tą razą z głębokiém wzruszeniem o rzadkich cnotach Synary; zresztą jakby z niechęcią wstrzymywał się od wszelkiéj własnéj uwagi, i opowiadał tak krótko, jak tylko być

mogło, cały wypadek do końca. Aż do dnia ostatniego nikt nie wiedział o zamyśle Finlanda. Noc ostatnią przepędził pułk częścią na pokładzie, częścią jeszcze pod wolném, ciepłém niebem afrykańskiego wybrzeża. Toż samo i lord uczynił; Synara nie zdawała się bynajmniéj powątpiéwać, że ją lord weźmie z sobą do Europy; niewinna i szczęśliwa, usnęła w téj pewności przy boku Finlanda. Zabrzasnął ranek, pułkownik zerwał się z łoża i dał rozkaz, aby jak najspieszniéj zabrano się w podróż. Ale Synara jeszcze się nie obudziła, i zdawało się, iż chociaż zawsze zmysł jéj był raźno pochopny do ocknięcia się, dziś go snu zamęt czarowną siécią otoczył. Z założonémi rękami stał nad nią lord i długo patrzył osłupiałym wzrokiem w jéj piękne, ciemne lice. Jéj pierś wznosiła się łagodnym oddechem; na twarzy lorda mocniéj niż kiedy pojawiła się znowu dawna surowa obojętność. Pułk wsiadł na okręt; oznajmiono mu o tém. Lord dał znak głową, że pospieszy; krom przyjaciela jego, oddalili się wszyscy. Lord rzucił się przed czarną dziewicą na kolana, ucałował jéj ręce, twarz i usta; stracił przytomność i rozpłakał się rzewnie. Lekko ruszyła się Synara, lecz nie mogła się wydobyć z snu więzów, w które ją wzięło zadane opium lorda. Trzymał rękę na jéj czole czas niejaki, jak gdyby ją błogosławił; razem zerwał się, i spieszno wsiadł na okręt. Kwapił się dotrzymać swego słowa! — »Biédna Synaro! Obyś przeżyła chwilę ocknięcia swego!«

* * *

Podobnie jak przed rokiem siedzieliśmy znowu w sali *l'Hotel d'Angleterre*. Ostatnie wiadomości skłoniły mnie nie wyprzedzać rozstrzygnienia. Podziwiałem stałość lorda, a znając jego moc woli, równie jak i wysoką zacność Łucyi, miałem jeszcze wielką nadzieję, że ta sprawa pomyślnie się załatwi. Ale z palmowych lasów Gwinei odbijało się głębokie, serce rozdziérające westchnienie, którego nawet fale Oceanu zagłuszyć nie zdołały! Z tém wszystkiém na ukojenie największéj boleści, roście doświadczone lékarstwo: mech na grobie!

Łucyja, jak podówczas, siedziała przy oknie i uszczęśliwiona błogą przyszłością, wpatrzyła wzrok swój w Montblanc; otaczały ją marzenia słodkiéj miłości, jak srébrne obłoczki w około jego szczytu.

»Emeryk przyjedzie«, rzekł ojciec do mnie, »Łucyja kocha go bardziéj, niż w dniu owym, gdy się z nim rozstawała. Oboje wytrzymali próbę. Kończy się dzień mojéj pracy. Wychowałem ją w czystości ducha i czérstwości ciała; spokojnie mogę ją teraz u przysionka szczęśliwości samej sobie zostawić.«

»Prawda, — u przysionka«, odrzekłem, a próg jego wydawał się mi być ciemnym i niepewnym!

»Przecież ustaliłem szczęście jednéj istoty«, mówił daléj, a szlachetne wzruszenie zajaśniało w twarzy i zadrżało w głosie jego. »Wykarmiłem prawdą, Łucyi ducha, jéj uczucia zwróciłem do wszystkiego, co piękne i szlachetne; lecz nie dość na tém: uzbroiłem jéj umysł cnotą i pobożnością, a co za prawdziwą rękojmię jéj szczęśliwości uważam.«

»Zaiste, z témi dwoma przymioty, nigdy zupełnie nieszczęśliwym być nie można.«

Na te słowa wjechał posłaniec na podwórze i pospieszył do sali. Byłto żokej Finlanda, który przywiózł wiadomość, że lord jeszcze dziś z Genewy przybędzie.

Yburg zerwał się z krzesła, Łucyja wydała krzyk radosny.

Niezwłocznie osiodłano konie, puściliśmy się ku Sallanche. Tak mocno pędziliśmy naprzeciw gościa, żeśmy nawet nie mieli czasu do siebie i słowa przemówić. W każdym z nas biło serce z oczekiwania, lice Łucyi płonęło radością. Dolina Chamouny miała znowu piérwsze znamiona jesieni; zwolna zapadało słońce, coraz bardziéj oświetlały się wzgórza. Ostatniémi dniami były wielkie ulewy, z gór spadały szumiące strumienie, niémi wzdęta, dziko rwała zmącona Arwa. Przy *Saint-Michel* przejechaliśmy zakręt doliny; jeszcze nie widać było lorda. *Torrent noir* parł się z hukiem przez gościniec, zerwał most, prawie niebezpieczną była przeprawa. W głębi koryta stérczały złomy skał, uniesione z lasów kłody i bryły oderwanéj ziemi.

Nareszcie jużeśmy zaczęli mijać *Lac de chède*. W tém miejscu Łucyja przywołała sobie w pamięć chwilę pożegnania, wstrzymała konia; tu postanowiła czekać na Emeryka. Pozsiadaliśmy z koni. U podnóża góry cicho i posępnie jak i podówczas, stało małe jezioro; jak i podówczas, odbijał się w jego źwierciedle obraz Montblanku. Oko Łucyi pałało błogiém uszczęśliwieniem: takby niewinną, elizejską radość malować należało. Ale niecierpliwość, któréj doznawała, nie dała jéj spoczynku, naglila nas, byśmy naprzeciw Finlandowi daléj jeszcze jechali; sama tylko chciała go tu czekać nad brzegiem odludnego jeziora. Po niejakim oporze, skłoniliśmy się nareszcie do jéj życzenia. Puściliśmy się daléj; zniknęło za nami jezioro, jechaliśmy prawie przez pół godziny; nakoniec ujrzeliśmy zbliżającego się ku nam jeźdzca. Spiąwszy ostrogami konie, wkrótce poznaliśmy lorda i niebawem nastąpiło przywitanie. Jako ojciec przycisnął go Yburg do swego serca; Emeryk był mocno wzruszony.

Oczy jego były zapadłe, twarz od słońca ogorzała, jednakże nie widać było na niéj koloru zdrowia. Jakieś smutne, nieszczęsne znamię czytałem na jego twarzy; serce moje zadrżało. Yburg naglił do spiesznego powrotu, uniesiony radością nie postrzegł w twarzy lorda żadnéj zmiany. Jechaliśmy więc skwapliwie mało co mówiąc z sobą. Im bardziéj zbliżaliśmy się ku jezioru, tém bardziéj bledniała twarz Emeryka. Lodowce tlały od zapadłego słońca, za nami stała wieczorna zorza, zmrok zaczął osiadać. Wtém z daleka błysło jezioro, śnieżna postać stała nad jego brzegiem; spojrzałem na oblubieńca, oko jego jak widmo w słup patrzyło.

Wtém ojciec wydał krzyk przeraźliwy, huk przytłumiony obił się o moje uszy, spojrzałem w dal przed siebie i ujrzałem z przestrachem nad *Lac de chède* chwiejący się las na szczycie góry, któréj boki w téjże chwili się załamały, ogromne bryły śród chmury pyłu z okropnym łomotem w dół się stoczyły, woda jeziora wyskoczyła w górę, a powietrze w burzę się zmieniło! Wraz znowu ucichło, rozwidniła się powietrznia, ale—jezioro*) i Łucyja, pod zaspą zniknęły na zawsze! W czasie tego okropnego wypadku niebo było pogodne. Pognaliśmy bez duszy co tylko koniom sił starczyć mogło. Przybywamy na miejsce, i zastajemy—ogromną mogiłę! Emeryk i ojciec dwa nieme posągi!

Gwiazdy zaglądały ukradkiem z głębi wieczornego nieba, migotały łzami i uśmiéchem, jak oczy niewiniątek. — Łucyja wstąpiła w ciemny przysionek wieczbéj szczęśliwości!!

*) Prawdziwe zdarzenie w jesieni 1837 roku.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 27. i obejmuje: 1) Zasady służące do ułożenia systematu polowego. (Ciąg dalszy.) 2) Kiedy właściwie żniwa rozpoczynać wypada. 3) O szkodliwych skutkach wywaru wódczanego (brahy) z kartofli zrosłych, jeżeli bydłu za karm ma służyć. 4) Gangrena lotna u owiec. 5) O niezbędnej potrzebie zbudowania kolei żelaznéj wzdłuż kraju naszego. 5) Łodygi słoneczniku zawierają dużo saletry. 6) Literatura.

W Wrocławiu wyjdzie wkrótce z pod prasy dramat Dahlmana: *Maryna Mniszchówna*, poświęcony cieniom Klonowicza, a z którego dochód przeznaczony na pomnik dla tego poety XVI. wieku († 1608), mający być postawionym w Wiel. Księztwie Poznańskiém.

Na wystawie tegorocznéj w Luwrze (w Paryżu), chwalono dwa obrazy, jeden malowany przez pannę Błeszyńskę, przedstawiający *młodą dziewczynkę*, drugi przez panią Domaradzkę, wyobrażający *widok Łuknowa w Indyjach Wschodnich*.

Dnia 4. maja umarła w Londynie po ciężkiéj chorobie, znana w Europie przez swą wyborną grę na skrzypcach, Elżbiéta Filipowiczowa, uczennica Spohra. (*Tyg. Lit.*)

Donieśliśmy już w »Gazecie« że znakomity obywatel i autor J. U. Niemcewicz w 84. roku życia przeniósł się do wieczności dnia 21. maja r. b. w mieszkaniu swojem (na ulicy *du marche d'Aguessau* N. 8.) w Paryżu. Dnia 24. maja zwłoki jego przeprowadzone zostały do kościoła Wniebowzięcia przy ulicy St. Honoryjusza, zkąd orszak pogrzebowy udał się na dolinę Montmorency, bo życzeniem było zmarłego, by go tam pochowano. Dolina Montmorency leży o pięć mil od Paryża, gdzie Niemcewicz mieszkał przed laty z swym przyjacielem i towarzyszem jenerałem Kniaziewiczem, z tąd ją polubiwszy obrał za miejsce wiecznego spoczynku. Ciało złożono w grobie w podwójnéj trumnie, pożegnane czułą mową księcia Adama Czartoryjskiego. Po księciu Adamie miał głos żyjący dotąd stary jenerał Kniaziewicz, po nim Iks. Trepka w krótkich duchem religijnym przemówił słowach, a na zakończenie Antoni Gorecki odczytał i złożył na grobie wiérsz, ku czci zmarłego napisany. J. U. Niemcewicz na kilka tygodni przed zgonem spisał akt ostatniéj woli swojéj. Szczupłą summę, bo tylko kilkadziesiąt tysięcy franków wynoszącą, rozdzielił między krewnych i przyjaciół, oraz na wsparcie przedsięwzięć literackich i zakładów naukowych. Wszystkie swoje rękopisma i pamiątki zapisał znanemu poecie i tłumaczowi *Pani Jeziora* Karolowi Sienkiewiczowi. Zostawił synowca, Karola Niemcewicza, który był przy jego śmierci w Paryżu.

(*W skróceniu z Orędownika naukowego.*)

Autograf drogi. Anglija dotąd jeszcze jest tym krajem, w którym literackie dokumenta i stare rękopisma najdrożéj się sprzedają, jak to widać z licytacyi, która niedawno na zbiór osobliwości pozostałych po panu Evans w Londynie się odbyła. Wystawiono tam na sprzedaż dokument oryginalny, na mocy którego urodzony w Stratford nad Awonem, w hrabstwie Warwik, szlachcic Wiliam Shakespeare, od londyńskiego obywatela i muzyka Henry Walker kupił dom położony w Blakfriar w Londynie. Ten dokument sprzedaży dnia 10. marca 1612 r. przez Szekspira podpisany, zaopatrzony jego pieczęcią i w księgi gruntowe Rolla-Court zgodnie z oryginałem wciągnięty, odstąpiono nakoniec jako najwięcéj dającemu panu Elkins za 165 funtów szterlingów i 15 szylingów (niemal za 1650 złr. mon. konw.)

Ameryka w obrazie. Amerykę możnaby przedstawić grupą następującą: Na przodzie stoi człowiek, który jedną nogą grzbiet czarnego niewolnika gniecie, a ręką wór pieniędzy z napisem: Wolność, ku niebu wznosi.— Obok niego stoi dziki Indyjanin od zażartego psa ścigany, na którego obroży Cywilizacyja jest wyryta.— Po drugiéj stronie Fanny Elssler, w ubiorze Sylfidy ziemię wolności całująca.— W głębi mógłby się Washyngton jako duch unosić. Artysta powinienby go oddać z niezmiernie przeciągłą twarzą, którąby przemawiać się zdawała: O gdybym to był przewidział!

Łzy. Rabin Jofa mówił: Wszystko jest dobre, czém tylko Pan śmiertelników obdarzył; ale łzy są to najpiękniejsze i najdroższe dary nieba. Poczém opowiadał wypadek następujący: Gdy piérwszy człowiek lekkomyślnie przekazanie swego ojca niebieskiego przestąpił, a Pan wygnał go z raju, wtedy mu taki ogłosił wyrok: Odtąd ziemia wydawać będzie dla ciebie ciernie i głogi, korzonki pola będą twoim pokarmem, a w pocie czoła pracować będziesz na chleb, aż pokąd znowu w ziemię się nie obrócisz, z któréjś zlepiony, boś ty ziemia, i znowu ziemią będziesz; wtedy zawiedziony i grzeszny człowiek w milczeniu i smutku opuścił miły, piękny przebytek niewinności i pokoju. Całą jego wewnętrzną i zewnętrzną istotę ogarnął żal niewymowny. Miłosierdny, niebieski ojciec ludzi, najmilsze, najdroższe swe stworzenie, nawet po upadku najmilsze, przywołał jeszcze raz na miejsce, gdzie mu w raju obok dziennego światła się pokazał, a uścisnąwszy i ucałowawszy w czoło ulubieńca swego, rzekł jako tkliwy ojciec: »Biedny człowieku, ileż ty na téj pustéj, zimnéj i nieurodzajnéj ziemi ciérpieć będziesz musiał! Boleść i udręczenie, podobne dzikim zwierzętom, napadać cię będą, w duszy twojéj grzéch wichrzyć będzie, a jeszcze zimniéj, niżeli ziemia w czasie ostréj i mroźnéj

zimy obchodzić się będą z tobą ci, którzy twémi braćmi, twémi siostrami się mianują. Sama nawet radość, i ona —ponieważ nie jesteś do radości zrodzony, gdy nad miarę miękkie serce twoje zapełni, nawet i ona za mocno cię przeniknie i słabiuchny umysł twój przygniecie. Któż cię wtedy ochroni, pocieszy, kto wzmoże? I powtórnie najdobrotliwszy i najmiłościwszy Ojciec, ucałował w czoło człowieka i dwie krople niebieskiéj rosy, dał mu na drogę życia ciernistego, a krople te miały postać pereł jasno-błyszczących.—Weź je! rzekł łagodnym, ojcowskim głosem, a żal będzie ci lżejszym i zbawienniejszą radość twoja. A na te słowa i na ten dar rozpłakał się Adam, i łzawem okiem spojrzał jeszcze raz na niewinny przebytek młodocianego wieku swego; atoli dusza jego była pogodniejsza, umysł spokojniejszy niż wprzódy, i lżéj mu było na sercu, a przyjemny, rozkoszny ogród zdawał się już, chociaż niechętnie, jednakże z mniejszym żalem i smutkiem i z mniejszem udręczeniem opuszczać. A cheruby i serafy stojący w około Pana wszech światów, zapytały Ojca ludzi w te słowa: »Cożto dałeś człowiekowi, co go tak prędko zmieniło?« A Ojciec ludzi tak odpowiedział: »Czego wy nie potrzebujecie, wy służebnicy mojego słowa! którzy nad radość i zmartwienie wyniesieni jesteście i czego żadna istota na ziemi nie ma, to dałem człowiekowi. Dar ten potrzebny mu będzie na ziemi; com mu dał w postaci błyszczącéj perły, sąto łzy, mój dar najlepszy i najdroższy.«

Małżonka Marabuta w Algierze. Między brankami, które wyprawcze wojsko francuzkie pod d. 19go maja z głębi kraju do Algieru przesłało, znajdowały się trzy nadzwyczajnej, a prawie zadziwiającéj piękności. Szczególniéj jedna z nich była bardzo pięknie zbudowana i miała ciągle do posługi Murzynkę. Arabska piękność ta osłonięta czarnym burnusem, za przybyciem swem do Algieru, dla rany swojej w nodze przez czas długi z muła nie zsiadała. Nie dziw, że pojawienie się jéj w Algierze zwróciło na siebie uwagę mężczyzn, a między osobami płci niewieściej romantyczną sympatyję obudziło. Jak się okazuje z jéj własnego i jéj towarzyszek zeznania, była ona małżonką jednego z Marabutów, którego plemię Francuzi dnia 5go maja zrabowali, a w skutek nowego systemu wojny, ogniem i mieczem cały jego *duar* zniszczyli. Małżonek jéj w walce z Francuzami odniósł śmiertelną ranę, a ojciec jéj, starający się wszelkiémi sposobami przeszkodzić, aby się w ręce nieprzyjacielskie nie dostała, poległ na bojowisku. Brat widząc niepodobieństwo ocalenia jéj, chciał jéj sam życie odebrać; ale na szczęście jednak, kula tylko jéj udo przeszyła, poczém Arabka ta z swemi towarzyszkami w niewolę się dostała. Kilku francuzkich spekulantów w Algierze zamyślało już umieścić ją w któréj z paryskich kawiarni jako *Dame du Comptoir* dla zwabienia nią gości; inni zaś w amfiteatrze albo w cyrku olimpijskim do spektaklowych ról ją zaangażować chcieli; ale tym wszystkim spekulacyjnym zamysłom, zwierzchność koniec położyła, gdyż ją kazała wpisać w poczet tych jeńców, którzy do wymiany są przeznaczeni.

Gryzeta jest kwiatem, który tylko na paryskiej ziemi wyrasta. Prawda, że i na innych miejscach Francyi są gryzety, ale obiedwie te istoty różnią się bardzo jedna od drugiéj. Prowincyjonalna jest sztywna, ociężała; paryska śmieje się i skacze jak ptaszek po gałązkach. Żadna niewiasta w świecie nie idzie zgrabniej jak gryzeta. Patrzmy tylko jak ona po nad błotnisty bruk nóżką sunie, a przecież białej pończoszki bynajmniéj nie zabrucze. Dokądże ona tak spieszy? Wszak jeszcze bardzo rano, a Paryż ledwieże dopiero ze snu oczy przeciera. Jakkolwiekbądź, dla gryzety już dawno dzień zaswitał. Skończyła swoję toaletę, i spieszy do swego sklepu. Teraz bierze się do roboty. Biedna dziewczyna, sukienka na niej jest z wybijanego kartonu, a zwinne paluszki jej przekrawują od rana do wieczora tiul, jedwab' i aksamit. Nie jestże to prawdziwa męka Tantala? Niedocieczone wyroki skazały ją na ubieranie innych dam, kiedy jéj samej w jedwabnéj sukni byłoby bardzo do twarzy, i niechby tylko słowo wyrzekła, jużby nietylko te same, ale nawet wszelkie inne spaniałości mieć mogła. Lecz gryzeta tego nie pragnie; byle tylko jéj Julijusz albo Edward był wiernym, już jest szczęśliwa; bo gryzeta ma serce szlachetne, zyskowi nieprzystępne. Nie masz czynniejszéj i bardziej niespracowanéj istoty jak gryzeta. Urzędnik, pisarz, komisant mają przynajmniej wieczór dla siebie. Skoro czwarta godzina uderzy, wszystkie pióra czynnémi być przestają. Nie doznaje tego szczęścia gryzeta. Zaczyna pracę swoję o godzinie dziewiątéj z-rana, a kończy o dziesiątej w wieczór. A z tych trzynastu godzin zaledwie jéj kilka chwilek na obiad pozostaje. I jakaż za tę niespracowaną pilność otrzymuje nagrodę? Oto płaca jéj wynosi tyle, iż zaledwie swego kanarka z niéj wyżywić i ogródek izdebny utrzymać może! — A przecież gryzeta jest szczęśliwa. W jednym dniu zapomina o uciążliwościach całego tygodnia. O szczęśliwa, potrzykroć błogosławiona niedzielo! W niedzielę, skoro pierwszy promyk słońca zabłyśnie, wyjmuje ona z kufra najporządniejszą sukienkę, najpowabniejszy czypeczek, najzgrabniejsze półbuciki i oparłszy się o okno, czeka z niecierpliwością chwili, w któréj dziesiąta godzina z wieży *Saint-Jaques-du-haut-pas* uderzy. Gdy nadejdzie pożądana godzina, słyszy trzykrotne pukanie we drzwi, a Julijusz do pokoju wpada. Julijusz musi cały tydzień pracować, a więc obojgu kochankom tylko niedziela do kochania zostaje. Ale jakże oni z téj niedzieli korzystać umieją! »Przede wszystkiém starajmy się wydalić z Paryża. Alež dokąd i w którą stronę?«—»Albożto daleko do Montmorency, gdzie jemy pąsowe trześnie, do *Saint-Germain* i jego gajów, do Wersalu i jego wodotrysków? A więc żwawo naprzód! »Żaden król ba nawet królowie w *Tysiąc nocy i jedna* nigdy nie byli tak szczęśliwi, jak Julijusz i gryzeta, dopoki trwa niedziela. — Piesze przechadzki, przejażdżki na osłach i na koniach, huśtawki, karuzele, któreż rozrywki z témi porównać się dadzą!—A potem nadchodzi wieczór, a z nim razem i bal wiejski. Kochankowie tańczą walca, galopa, aż pokąd ostatni powóz lub ostatni statek paro[...] do Paryża ich nie zawiezie. Atoli szczęście jest przemijające. Julijusz zostaje adwokatem albo lekarzem. Powraca na prowincyję z któréj przyjechał, a gryzetę pozostawia na pastwę melodramatycznéj żałości! Biedna sierota tęskni, wzdycha, roni łzy i karmi samobójcze myśli w swém łonie—aż do najbliższéj niedzieli, w któréj nową znajomość zabiera.

Recepta długiego życia. Sławny lekarz Hermann Boerhave, Eskulap holenderski, pozostawił następującą receptę długiego życia: *Manger, mâcher et marcher* (jeść, żuć i chodzić).

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.